

Rozmyślanie

u grobu Chrystusa zmartwychwstałego.

Pierwszego dnia szabatu bardzo rano przyszły niewiasty do grobu niosąc wonne rzeczy, które były przygotowały. I znalazły kamień odwalony od grobu, a wszedłszy nie znalazły ciała P. Jezusa.

(Łuk. r. XXIV w. 1-3)

Ten grób pusty w którym niewiasty nie znalazły ciała Chrystusowego, stanowi łączność między życiem śmiertelnym, a życiem chwalebnym Chr. Pana.

Niewiasty wróciwszy do miasta opowiadają apostołom co zastały u grobu. Piotr i Jan biegną o tem się przekonać i znajdują tylko w grobie leżące prześcieradła ale jeszcze nie rozumieją, że Chrystus zmartwychwstał. Magdalena troszczy się, że wzięto Pana z grobu i nie wiadomo gdzie go położono. Uczniowie idący do Emaus mówią Jezusowi, który im towarzyszy, że niewiasty znalazły grób pusty.

Niewiasty i uczniowie są nieprzygotowani do tego co się stało. Wszyscy zwłaszcza Tomasz są skłonni do zwątpienia, jedni drugim nie wierzą, uczniowie niewiastom, Tomasz uczniom.

Ten grób pusty, to niemy zimny świadek, nie daje nic dla wyobraźni, ale stanowi fundament wiary chrześcijańskiej. Wiary w kogoś który żył życiem naszym, życiem ludzkim, pracowitem, bolesnem, zakończonem śmiercią, i który został złożony do grobu.

Wiara chrześcijańska to wiara w Tego, który żyje obecny wśród nas, niewidzialny dla zmysłów ale dostępny dla duszy, trzeba wiary żeby Go osiąść, trzeba miłości żeby Mu służyć.

Wiara zaczyna się u grobu Chrystusowego ale i życie chrześcijańskie tam się też zaczyna. Grób daje początek chwalebnemu życiu

Jezusa, on jest też początkiem życia dla tych, co pragną żyć życiem Chrystusowem. „Braćta, jeśliście wespół powstałi z Chrystusem, co wzgórze jest szukajcie... co wzgórze jest miłujcie, nie co na ziemi...” Gdy się Chrystus żywot wasz okaże, tedy i wy z nim okażecie się w chwale (Kolos. r. 3).

Grób jest potrzebny naszemu życiu moralnemu i duchowemu. Trzeba pogrzebać życie naszych zmysłów, a może i nasze zamiary, pragnienia, zachcianki, ażeby z tego powstało życie Chrystusowe.

Grób jest potrzebny i naszemu życiu codziennemu, my nie umiemy grzebać naszych codziennych przykrości, upokorzeń, niechęci, by zachować jedynie zarodek życia bożego, które otrzymaliśmy na chrzcie św. Zatrzymujemy to, cośmy pogrzebać powinni, trwamy w zarodkach śmierci, kiedy nam potrzebna jedynie wiara i miłość. W zupełności nigdy do takiej doskonałości nie dojdziemy, ale przynajmniej trzeba nam ku niej dążyć wszystkiemi siłami duszy i serca.

(Z nauki O. Brillet)

Z Życia P. Jenerałowej (mężatka) 51.

Zawsze sobie wystawiałam, że tak jak w dzień ślubu wyrzekłam się wszelkiego zbytku, tak i do wszelkiej słodyczy pochodzącej z przyjaźni prawa mieć nie mogłam i zawsze mi się to wydawało jakby jakąś kradzieżą z mojej strony. Na tej zasadzie spaliłam listy Lorda Lyons, czego teraz żałuję, bo te listy w Istocie nie temu mogły zaszczyt przynieść do kogo były pisane, ale temu, kto je pisał.

Razu jednego już po przeniesieniu się poselstwa do Pera na złmę, Lady Stratford dała bal dziecienny kostjumowy, na który Władysła zaprosiła, a że trudno było po balu wracać się z Pera do Terapij, więc nas zaprosiła i na noc i dano nam tak zwane „state chambers“, prawdziwie po królewsku umeblowane pokoje.

Chciałam zrobić Lwi Lyons niespodziankę, poprosiłam kapitana Manning na Royal Albert, ażeby nie mówiąc admirałowi, dał mi kompletne ubranie majtka tego okrętu, z watażką do kapelusza z nazwiskiem okrętu, ażebym mogła według tego zrobić Władysłowi ubranie.

Kilka godzin przed balem pojechałam z chłopcem i z tym tobołkiem do Pera, do ambasady i tam w mojem wspaniałem mieszkaniu zasiadłam na ziemi, na dywanie pąsowym przed kominkiem z rozżarzonem ogniem, ażeby chłopca ubierać. Mozolę się nad tem, nie wiedząc co do czego przypląć, aż tu ktoś do drzwi puka i wchodzi admirał. Patrzy się co my tam na ziemi robimy przed ogniem, myślał, że chłopca grzeję i mówi że się potem zaziębi, ale raptem widzi rozłożone po ziemi koszulę z niebieskim kołnierzem, marynarkę, nóż z powrozem, kapelusz z napisem Royal Albert, domyśla się o co chodzi, buch na ziemię przy nas i sam chłopca od koszuli ubiera, śmieje się, cleszy i zabiera na bal, a ja dopiero sama siebie ubrać musiałam i mego męża się doczekać, bo ani mi się marzyło o tem, żebym sama pójść miała.

Jakieśmy przyszli nareszcie do sali balowej, Władysław w najlepsze admirała się trzymał, a ten wszystkiem mówił, że gdyby chłopiec był na sprzedaż, toby chętnie za niego dał 20.000 funtów szt. Okropną potem miał ochotę go ze sobą zabrać do Anglii, tylko tem obroniłam, że mówiłam że bez piastunki puścić go nie można. A admirał mówił, że jeżeli my chcemy jechać z nim i piastunką pilnować, to zgoda, ale że onby wziął opiekę nad chłopcem, ale nie nad piastunką, boby cały ekwipaż, czy żałoga, za nią powarjowała.

Władysław miał szczęście do ludzi, wszyscy za nim przepadali. Raz na statku parowym na Bosforze płynęły jakieś kobiety tureczynki z dziećmi, chciały z nim wszcząć rozmowę, ja musiałam służyć za tłumacza. Zaczęły go wypytywać o każdym dziecku na statku czy kiz, czy ółgu tj. czy dziewczynka, czy chłopiec, a że dziwnie trafnie odgadywał, zdecydowały, że: „szejta dur tj. że szatana posiada. To mi niebardzo podchlebiło.

Mnie się nie często figle czepiały, ale mi się przypomina jeden z owych czasów, który mógłby się mniej komicznie skończyć.

Mieszkało w hotelu nad nami jeszcze kilkunastu Anglików, między innymi jakis p. Gisbourne Inżynier przy telegrafach wojennych. Ten pan szczególniej mi był wstrętnym. Razu jednego Eugénie mówi mi, że nie wie jak się go pozbyć, że ile razy wychodził na przechadzkę z dziećmi, to on za nią i że koniecznie się dopytuje o numer jej po-

koju. Pokoje nasze jak w hotelu, były numerowane. Ja miałam Nr. 7 mój mąż Nr. 8, pan Niedźwiecki 9, a Eugènie z dziećmi 10. Niewiele myśląc mówię Eguènie, że jeżeli jej się raz o to spyta, żeby mu powiedziała, że mieszka pod Nr. 8 a że jeżeli nalega, żeby mu powle-działa że może przyjść, byle wszyscy już spali.

Na myśl mi w istocie nie przyszło, że ona to wykona i tylko żartem jej tak odpowiedziałam.

Nazajutrz Eugènie mówi, że znowu ją ten pan zaczepił, że mu tak odpowiedziała jak kazałam i że powiedział że przyjdzie o 11-tej wieczór. Tego wieczora zeszli do nas na herbatę major Brett z żoną i póki on rozmawiał z moim mężem, ja pani Brett powiedziałam jakie głupstwo zrobiłam. Ona się porządnie śmiała, a potem powiedziała swemu mężowi, a on wszystkim Anglikom wojskowym, którzy byli w tym hotelu. Ja znów powiedziałam memu mężowi i potem przekonawszy się że Eugènie w najlepsze śpi, sama się poszłam położyć, a nic nie słysząc zasnęłam. Aż tu rumot i hałas na schodach niesły-chany. Pan Gisbourn w lekkim białym stroju zszedł w istocie do naszego mieszkania i przy świetle swojej świeczki trafił do Nr. 8 tj. do pokoju mego męża, a spostrzegłszy się co zrobił, uciekał w nogi. Ale mu świeca zgasła i wszystko po drodze przewracał pociemku. Ciemno jednak było tylko w naszym mieszkaniu, bo jak drzwi otworzył na schody, wszyscy Anglicy mieszkający w hotelu, każdy ze swoją świecą czekali na niego, ażeby mu wieszować miłego rendez vous. Stała tam na schodach także nasza Augusta ze swoją świeczką. „Vous n'avez pas honte de faire pareille chose grand serin amoureux?“ Biedny Gisbourn zmykał nie spyszna w swoich perkalowych szarawarach i popielatym fraczku, wśród ogólnego śmiechu.

Nazajutrz napisał z przeproszeniem do mego męża, mówiąc, że się pomylił o piętro i że chciał wejść do znajomego.

Ta awantura rozśmieszyła całe angielskie towarzystwo w Pera. Szczęściem nikt nie posądzał, że ja z tem miałam co do czynienia.

Każdy dzień tego pobytu w Terapii napiętnowany jakimś złem, czy dobrem wspomnieniem, a czasem bardzo śmiesznem. Pewnego razu Lady Stratford miała być z wilytą u jakiejś turczynki P. Osman

Bey, i zaprosiła mnie ze sobą. Towarzyszyła jej jako tłumacz P. Carathiodory żona lekarza sultańskiego i jej śliczna córka P. Spiridion Baltazzi.

W Turcji zwyczaj, że w salonach drzwi są naprzeciw okien; pod oknami na kanapie, a raczej tak zwanym dywanie, idącym od ściany do ściany miejsca honorowe; a od okna do drzwi, wzdłuż bocznych ścian, aż do drzwi idą dywany coraz to niższe i mniej zaszczytne z popolitejszej materji, a kończą się na cienkich poduszkach dla ostatnich niewolnic.

Jak Lady Stratford weszła posadzono ją pod oknem z tańtemi paniami, które tłumaczyć miały, a ja nie wiedząc wcale jakie znaczenie tych rozmaitych miejsc, ani też będąc chciwą nudzenia się na najszczytniejszem miejscu, usiadłam sobie zaraz przy drzwiach, tamtym paniom zostawiając zajęcie się przynależnymi salamalekami.

Pod oknami rozmowa szła jak z kamienia, a przy drzwiach bardzo wesoło; biedne niewolnice ostatniego stopnia, uradowane że im się dostała taka gratka, pewne były że jestem służącą czy niewolnicą Lady Stratford. Ale ich radość niedługo trwała, bo te co siedziały trochę wyżej, zażądały, ażeby mnie im ustąpiono i tak przesłać się musiałam cztery razy, a gdzie przysiadłam tam się zaczynała żwawa rozmowa i wesołość. Nareszcie w miarę jak się przybliżałam do okna, rozmowa tam ustawała, raptem spostrzegłam się, że P. Osman Bey daje P. Carathiodorze zlecenie, żeby coś powiedziała Lady Stratford, a ta ostatnia strasznie wyglądając zmieszana broni się i wymawia jak może; dosyć to długo trwało, widziałam że o mnie chodzi, ale co nie miałam pojęcia. Myślałam, że się może nie podoba że te niewolnice tak się rozgadały wobec swojej Pani. Pani Baltazzi nachyla się, żeby usłyszeć o czem mówią z matką i w śmiech, chce mi powiedzieć o co chodzi, matka zaklina żeby nie mówiła, że to coś okropnego, że się obrazę; nareszcie i mnie i Lady Stratford ciekawość bierze, pytamy o co chodzi, a P. Baltazzi śmiejąc się tak, że ledwo mówić mogła, powiedziała, że mnie chcą kupić, bo uważają, że jestem bardzo zabawna i żeby się ze mną nie nudziły. P. Carathiodory myślała, że muszę być bardzo obrażoną, ja zaś dowodziłam, że mnie to bardzo pochlebia. P. Osman nie chciała od zamiaru odstąpić.

Z Wędrówki po świecie (d. c.)

Nawiasem mówiąc, na naukach nam nie zbywało, włąwszy pod uwagę, że w skład pielgrzymki wchodził ks. biskup Okoniewski i 50-ciu księży z całej Rzeczypospolitej, a wśród nich było kilku profesorów, jeden opat i infułat, moc kanoników i innych dostojników kościelnych. Było więc w czem wybierać, to też słowo Boże głosili kolejno różni kaznodzieje.

Po nabożeństwie, śniadanie w ogrodzie klasztornym w cieniu i przy poszumie drzew egzotycznych. Wszystko nas zajmowało, bo było także inne, takie nieznanne, choćby i te drzewa, wielkie, rozłożyste, zawieszane owocami przypominającemi wielkością i kształtem nasze długie ogórki. Wszystkie osobliwości chciało się brać na pamiątkę, ale jak je zapakować, jak przetransportować skoro nadmiernymi pakunkami nie można sobie było życia zatruwać. Roztropność musiała hamować zachłanność zbieraczy, którzy częstokroć poprzestać musieli na gromadzeniu drobiazków; widokówek, obrazków, czy wręcz albumów zamiast okazów oryginalnych.

Pożywiwszy się jako tako śniadaniem nietyle obfitem, ile niesmacznem, poczęłam się rozglądać po ogrodzie i obejściu klasztornym i niewiele było na to czasu, gdyż niebawem ujął w swe ręce przewodnictwo miejscowy zakonnik i poprowadził nas do miejsca, z którego widać było ogród z drzewem św. Dziewicy, następnie pokazał nam wspólny grobowiec zakonników, na którym odnaleźliśmy i nazwisko polskie Polaka zakonnika.

Czas naglił i choćby się jeszcze chętnie było pochodziło i w skupieniu pomodliło w miejscu kochanem, trzeba było na głos przewodnika zabierać się do odwrotu. Powoziki zajeżdżały, nawoływania, nagle nia stawały się coraz natarczywsze, zdarzyło się zaledwie w pośpiechu kupić kilka widokówek i trzeba było pożegnać urocze zacisze Matarjeh.

Wracamy inną drogą, bo jeszcze mamy coś bardzo ładnego do obejrzenia. I rzeczywiście co za niespodzianka! Przed oczami naszymi rozciąga całą swą krasę Heliopolis, ale nie to dawne z przed 5.000 lat, miasto boga słońca, ale to dzisiejsze, zeuropelzowane aż do szpiku

kościel: komfort, przepych, zbytek w budowlach, ogrodach, kwiatach. Nowoczesny raj ziemski, siedziba nababów, miljo i biljonerów całego świata, którzy uciekając przed przykrościami zimy w krajach ojczy- stych, przyjeżdżają się wykapać w promienlach słońca i zanurzyć w powodzi przeróżnego kwiecia ziemi egipskiej.

Pałac przy pałacu, tonie w ogrodach, palmach, kwiatach. Mówiono nam, że twórcami tego pięknego miasta są Belgowie, którzy zbudowali te przepyszne budynki w celach handlowych, by nietylko swój pieniądz dobrze oprocentować, ale i swoim ludziom dostarczyć pracy i zarobku. Chcąc podnieść znaczenie tego uroczego zakątka towarzystwo to pobudowało także przepiękny kościół katolicki z tem, żeby Heliopolis było stolicą biskupią, o co usilne czynią w Rzymie starania.

Heliopolis niebem, słońcem i roślinnością, przypomina Egipt lecz twory ręki ludzkiej odbiegły od afrykańskiej mody i w takim otocze- niu obcem źle się Egipcjanin czuje, dowodem czego mały ruch uliczny.

Czas w którym zwiedzaliśmy Egipt był już za upalny dla bo- gaczy tego świata; kwiecień to sezon martwy, czas, jak to się u nas mówi ogórkowy. W willach, pałacach, życie zamarło, okna pozapusz- czane, często gęsto można było zauważyć tablicę z napisem „à louer”. Ktoby się nie bał spiekoty słońca afrykańskiego, mógłby w sezonie martwym zamieszkać za niedrogie stosunkowo pieniądze w ślicznym pałacyku.

Podróże po mieście i w okolicy Kairu odbywaliśmy końmi z dwóch powodów: 1-o by się nacieszyć bieglem i widokiem koni- ków arabskich; 2 o by jadąc wolniej obejrzeć dokładnie miasto z oso- bliwościami i okolicę.

Pobyt nasz w Egipcie dolnym i górnym trwał zaledwie 8 dni, a do zwiedzenia był ogrom rzeczy. Gdybyśmy się nie posługiwali ko- lejami, samochodami i pojazdami, a tylko wielbłądami i osiołkami, to w tym samym czasie nie bylibyśmy i jednej setnej części tego zo- baczyli. Drogo nas każdy dzień kosztował, coś około 120 zł. ale wszystko tak było pomyślane, aby pątnicy jak największe korzyści w krótkim czasie i przy małym wysiłku fizycznym odnieść mogli. To też należy się wdzięczność organizatorom tej pierwszej Narodowej Pielgrzymki

do Ziemi św. a więc ks. Dyrek. Czeszewskiemu, który z ramienia kancelarji Prymasa Polski trudy wzięł na swoje barki. Niejedną on gorzką pigułkę od pobożnych pielgrzymów połknąć musiał w ciągu naszego pielgrzymowania; bo ludzie, jak to ludzie, zapłacili więc żądają i słusznie zresztą, ale często to i owo nie w mocy ludzkiej a o wyrozumiałość zawsze trudno, tem bardziej w drodze zdala od domowych pieleszy i codziennych wygod domowych.

(T. Leszczyńska).

Wspomnienia z dwuletniego pobytu w Zurichu. (d.c.)

Nadeszła chwila wyjazdu, kierowniczką, parę służących i ja. Po przygotowaniu wszystkich zapasów, naczyń i konwi z gorącą wodą, które miało auto przewieźć, wsiadłyśmy do tramwaju i pojechałyśmy za miasto na plac footballowy.

Tu w parę chwil urządzono bufet w drewnianym budynku, a poza tem, podzielono zapasy w duże płaskie kosze z rzemionem i pasami, podobne do tych jakie się widzi na stacjach kolejowych u chłopców sprzedających pomarańcze, czekoladę, papierosy i t. p. Każda ze służących wzięła kosz taki, uwiesiła na rzemieniu przez ramię i poszła do publiczności.

Ja nie — ale raptem, zachciało mi się i tych wrażeń użyć i pytam się kierowniczkę czy i ja mam iść za nimi? Ona obejrzała się że wszyscy są teraz na zawodach, a bufet stoi wolny, powiedziała, że właściwie mogę iść do czasu, gdy będzie przerwa.

Poszłam, ale już dochodząc do publiczności coraz mi trudniej było... Wmleszałam się w tłum... zdało mi się, że zwracam uwagę mojem niepewnem nieumiejętnem zachowaniem się... Okręcałam publiczność idąc za ich plecami; sumienie nie dawało mi spokoju... Jak mogłam wziąć towar i nie sprzedawać go, przecie nikt nie może się domyśleć, że się tam prześlizguję za plecami. Więc co? trzeba się zdobyć na zawołanie. Tu walcząc ze sobą zaczęłam... i w końcu zwyciężyłam... schokolade!... usłyszałam zdziwiona nie poznając własnego głosu i zdało mi się, że coś się pode mną połamało, wyobrażałam sobie, że teraz patrzą na mnie i naprawdę ktoś się obrócił, nie

wiem czy dla kupiania, czy z ciekawości skąd taki wykrzyknik się wyłonił. Głos mój był dziwnie zduszony, cichy, nieśmiały, bo nie ochłonęłam, ale już coraz głośniejszej, coraz pewniej wołałam „schokolade, bananen, bitte!“ kupowali i dużo.

Teraz za punkt honoru uważałam sobie sprzedać jak najwięcej. I gdy mnie ktoś prosił bym przyniosła z bufetu soku do picia, poszłam. Była chwila, gdy tak wracając z paru szklankami na tacce i z koszem na szyi, zatrzymałam się na chwilę przechodząc za zabudowaniami, gdzie mnie nikt nie widział, znów zdziwiona zdawałam się nierozumieć co to się dzieje ze mną — słowami — „dla ciebie Polsko“ zachęcałam się do tego by iść dalej. Przecież tu chodzi o zdobycie dobrego dyplomu by w Polsce nową gałąź pracy zaszcześcić.

Dano mi 5 centymów za fatygę, nie chciałam wziąć, ale nie zatrzymując się długo, widząc, że nie dojdziemy do porozumienia odniosłam je do kasy. Pomyłyśmy naczynia, ułożono wszystko w aucie i wróciłyśmy do restauracji; w uszach brzmiało mi długo schokolade, bananen, bitte!

Wróciłam do domu, opowiadałam o tem koleżankom, opowiadałam znajomym; Pan konsul się śmiał i mówił: „co może panią obchodzić zdanie głupca, który za to co pani zrobiła nie szanował by panią“.

Nie wiem do dziś i jest mi zagadką czemu, czemu zdaje mi się, że jakaś krzywda mi się wówczas stała? Wiem tylko, że przestałam lubić czekoladę.

(Zofja Zdanowska).

Ze zjazdu zjednoczenia słowiańskich kobiet.

Zjednoczenie słowiańskich kobiet, którego główną siedzibą jest Praga czeska, powstało rok temu. Celem jego jest zbliżenie się całej rodziny słowian na podstawie wspólnej pracy kulturalnej, gospodarczej i społecznej, z zachowaniem oryginalności kultury słowiańskiej i siły słowiańskiej rasy.

Dnia 5 i 6 lutego r. b. odbył się pierwszy wszechsłowiański zjazd kobiet w Pradze. Ustalono szereg punktów, między innymi, że kobiety

należąc do zjednoczenia słowiańskich kobiet muszą n'etylko opłacać zwykłą miesięczną składkę, ale że wszystkie członkinie muszą dawać conajmniej 2 godziny tygodniowo pracy społecznej. Kładziono nacisk na konieczność tego rodzaju pracy w celu nawiązania stosunków między narodami słowiańskimi, wzajemnego zapoznania się i zblżenia. Do tego ma służyć wymiana młodzieży na studia i dzieci na wakacje. (P. Zaleska weszła już w porozumienie z czeszkami).

W celu lepszego poznania się i zblżenia, oraz omówienia wszystkich spraw, mają być zwoływane zjazdy co rok w innem państwie słowiańskiem i odbywać się będą w języku danego narodu. Na przyszły rok zaprojektowano zjazd w Krakowie i przez ten cały rok już szereg różnych słowianek zaczęło ćwiczyć się w języku polskim aby, gdy do Polski przyjadą, mogły się dobrze porozumieć. W celu poznania produkcji i wyrobów krajowych, będą urządzone wystawy stałe i wędrownie, dalej wycieczki krajoznawcze dla poznawania swego kraju i strojów narodowych oraz robione zdjęcia fotograficzne w celach propagandy wśród naszych pobratymców.

Przedstawicielką zjednoczenia słowiańskich kobiet na Polskę jest p. Stefanja Laudyn-Chrzanowska, która parę razy głos w imieniu polek zabierała. Zapoznała zebranych z ruchem propagandy zjednoczenia słowianek w Polsce.

Po zakończeniu zjazdu zwiedzano Pragę i dzieła monumentalne demokracji ludowej czeskiej. Zapoznano się z pracą humanitarną i ofiarnością miasta, czego godnym przykładem jest „dom Masaryka” za Pragę, zbudowany na uczenie 10 ciolecia niepodległości Czech. Jest to przytułek dla sierot bez dachu, dla starców i niemowląt, dla chorych rekonwalescentów i różnych nieszczęśliwych — a nad wejściem do tego pałacu widnieje napis: „Praha — matka wasza”. Ta dobra, gościnna Praga wierzy w przyszłość lepszą dla swego kraju i wszystkich pobratymców. Wierzmy i my w pracę i inicjatywę zjednoczonych kobiet słowiańskich, bo znaczenie kobiet jest duże, ich siła może dopomóc do wielkiej dziejowej przyszłości słowiańskiego zespolenia, które wzywa do solidarności i braterstwa,

Wiadomości.

P. Janina Strawińska ukończywszy praktykę społeczną we Francji i Belgji, przyjechała do Kuźnic na dwa tygodnie, poczem wróciła do Poznania by ukończyć studia w tamtejszej Katolickiej Szkole Społecznej.

Praktyka Społeczna p. J. S. polega na zaznajomieniu się z różnemi metodami prowadzenia Kursów Społecznych, a także z pracą w organizacjach młodzieży. — W tym celu p. J. S. brała udział w lotnych kursach społ. urządzanych przez paryską Szkołę Społeczną w Paryżu i na prowincji — i zwiedzała też szkoły społeczne w Bruxeli i Lowanium. — Szczególną uwagę zwróciła na „Institut Ménager et Social“ w Paryżu przy rue Monsieur — w którym podobnie jak u nas uczennice przygotowują się do pracy gospodarczo-społecznej w charakterze lotnych instruktoerek.

Wśród organizacyj młodzieży pracującej, ta która się dziś najwięcej wybilja we Francji i w Belgji to: J. O. C. („Jeunesse Ouvrière Chrétienne“) — Świetne metody któremi jest prowadzona, i duch apostolski, którym owładnięta jest młodzież do niej należąca rokują wielki rozwój tej organizacji. P. Janina Str. brała udział w szeregu zebrań organizowanych przez J. O. C. F.

Pozatem zwiedziła dużo innych placówek społecznych, zakładów wychowawczych i t. p. Jednem słowem odniosła dużo korzyści ze swego we Francji pobytu i wróciła pełna zapału do pracy społecznej. Ostatki spędzono w Zakładzie w sposób urozmaicony. W niedzielę po południu uczennice VI kursu, które przechodzą kurs przygotowania do pracy społecznej urządziły demonstracyjne zebranie prowincjonalne. Ogół uczenic stanowił audytorjum, niektóre panie tworzyły prezydjum. P. Suszyńska uczennica VI kursu wygłosiła referat o pracy jako czynniku wychowawczym. Potem nastąpiły zapytania i wywiązała się dyskusja. Rezultatem było postanowienie urządzania częściej takich demonstracyjnych zjazdów.

Wieczorem odbyło się w szwalni przedstawienie, którego program był następujący: 1) Węgry (deklamacja) 2) „Tam na błoni“

(scenizacja) 3) Dumka (śpiew) 4) Raz mi się zdarzyło (djalog) 5) „Bł-twa pod Waterloo“ (humorystyczne) 6) Przy kominku (scenizacja) 7) „Wróżby“ (deklamacja) 8) „Parasole swatem“ (komedyjka). Za-kończono odśpiewaniem „roty“ Kuźniczanek. W poniedziałek wieczorem tańczouo do 11-tej, był urządzony bufet z przekąskami i napojami. A wieczór w ostatni wtorek zeszedł na wspólnych grach w szwalni.

Rekolekcje.

W tym roku zaczęły się 10 marca wieczorem, a skończyły 14 marca piękną nauką o Prz. Sakr. i wspólną Komunią św. Głosił je O. dominikanin z Krakowa. Nauki jego miały dużo głębokich my-śli, zastosowane były ściśle do młodych dziewcząt. Nauka o zawarciu przyjaćielstwa z Chr. P. była jedna z tych, które największe zrobiły wrażenie. O. dominikanin przedstawił, co przyjaźń z Chr. daje i o ile ona przewyższa wszystkie ludzkie przyjaźnie.

Dla ludzi z Kuźnic i służby O. dominikanin miał osobne nauki.

Panna Władysława Wojtczakówna wstąpiła w d. 1/IX 1929 r. do Zgromadzenia SS. Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo w Chełmie na Pomorzu. Postulat odbywa w Poznaniu w szpitalu Przem. Pańskiego.

Śluby.

Panna Marja Mniszkówna wyszła za p. Stanisława Gołdę. Ślub odbył się d. 25 lutego 1930 r. w kościele św. Marji Magdaleny we Lwowie.

Szczęść im Boże.

Intencja.

Wchodząc w myśl Ojca św. modlić się za cierpiących prześla-dowanie w bolszewji.

Praktyka.

Zastosować się do tego, co było podane w rozmyślaniu i zapo-minać o swoich codziennych przykrościach.